Nr. 22. We Lwowie dnia 2. czerwca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Jan Ignacy Paderewski.

Największy z żyjących pianistów w świecie, „tytan klawiszów“ jak go nazywają w świecie muzykalnym, a jak się obecnie pokazało, wielki muzyk i kompozytor dramatyczny, twórca opery „Manru“, która teraz po premierze w Dreznie pomnożyła znów sławę jego i polskiego imienia, urodził się 6 listopada r. 1860. w Kuryłówce na Podolu.



Pierwsze wykształcenie muzyczne otrzymał u profesora Janoty w Warszawie i już na lata 1876 i 1877 przypada jego pierwsze turnee artystyczne po Królestwie i Rosji, które mu odrazu zjednało uznanie.

Pierwotnym zamiarem jednak Paderewskiego nie było zostać wirtuozem, lecz muzykiem - teoretykiem, kompozytorem. I teraz pomimo pierwszych tryumfów, w poczuciu tego czego możnaby dokonać, utracił nadzieję zrobienia błyszczącej karjery wirtuoza i postanowił oddać się tam wyłącznie kompozycji. W roku 1879 został więc profesorem warszawskiego Konserwatorjum, gdzie jednak wytrzymał niedługo, gdyż zazdrość, jaką wśród otoczenia budziły jego nadzwyczajne zdolności, przyprawiała go o zbyt wiele przykrości. „Z niego nic nie będzie“, mówiono jak o tylu już ludziach znakomitych, gdy wyrokowano przedwcześnie o ich przyszłości. Porzucił więc Konserwatorjum w r. 1881, a następnie udał się do Berlina, aby tam pod kierunkiem Kiela i Urbana prowadzić dalej swoje studja kompozytorskie.

Ale tutaj poznano, że w Paderewskim oprócz widocznie świetnie zapowiadającego się kompozytora, drzemie i oryginalny wirtuoz o potężnej indywidualności. Nakłoniono go więc do tego, że udał się do Wiednia, aby tam pod kierunkiem znakomitego mistrza Leszetyckiego zostać wirtuozem. I rzeczywiście po niedługich lecz mozolnych studjach opanował Paderewski instrument do tego stopnia, że mógł sięgnąć po laury za granicą. Wyjechał więc do Paryża i zdobył go szturmem, potem wprawił w entuzjazm Londyn, gdzie najwybitniejsi ludzie szukali jego towarzystwa, a najpierwsi malarze jak Alma Tadema i Burne-Jones ubiegali się o to, żeby malować jego wysoce charakterystyczną i piękną głowę, o małych płomiennych oczach i olbrzymiej rudej czuprynie. Następnie oczarowuje Rumunję, Włochy, a turnee po Ameryce

jest jednym szeregiem samych zwycięztw i owacyj. Ale pomimo te wszystkie laury i bogactwa zdobyte karjerą wirtuoza, nie zamiera w Paderewskim żywioł twórczy i wielki pianista nie przestaje ani na chwilę być kompozytorem. Cały czas wolny od koncertów i ćwiczeń poświęca pracy kompozytorskiej. Wydał mało, bo mało miał czasu, ale to, co stworzył, to nosi na sobie cechę ogromnego talentu, a niektóre z wydanych utworów jak słynny „menuet“ lub „koncert“ stwo rzyły już nawet podwalinę sławy Paderewskiego, jako kompozytora.

Poznał się na tem zresztą Rubinstein, dość wcześnie, bo jeszcze wówczas, gdy Paderewski był na studjach kompozytorskich w Berlinie, a pomylił się tylko, odmawiając mu wówczas zdolności wirtuozowskich. Usłyszawszy bowiem Paderewskiego, grającego własną kompozycję, powiedział: „To dobre, ale źle grane... on gra jak kompozytor“. Później oczywiście, pod wrażeniem tego, co się stało, zmienił zdanie sędziwy wirtuoz, ale kto umiał poza hukiem entuzjazmu wysłuchać wewnętrznych drgnień duszy pianisty, ten tam się z pewnością dosłuchał tego, że to Paderewskiemu grają w duszy jego własne melodje. Dostrzegł to między innymi pewien kapelmistrz niemiecki, który podczas jednego z koncertów Paderewskiego już wówczas, gdy stał u szczytu, zerwał się nagle i wyszedł z widocznym gniewem, a gdy go spytano dlaczego to uczynił, odparł: „Nie mogłem tego słuchać. Taki talent kompozytorski i młóci repertuar koncertowy, zamiast komponować własne dobre rzeczy“.

Pomylił się tak, jak Rubinstein i tak, jak on miał rację, ale dlatego, że Paderewski połączył w sobie w wysokim stopniu dwie rzeczy, które nie często chodzą w parze. Jak zaś świetnie je połączył, o tem świadczą hymny pochwalne, dochodzące nas z zagranicy po przedstawieniu „Manru“. Jest to dzieło zarazem genjuszu, jak pracy i wykształcenia muzycznego, do którego sumienny mistrz przygotowywał się długo. Dzisiaj Paderewski, którego portret, — jeden z lepszych, choć dawniejszy – podajemy obecnie, liczy lat 40, jest więc człowiekiem młodym stosunkowo i droga przed nim jeszcze daleka. Pierwsze kroki są świetne, oby całość była taką i lepszą. Zwyciężył współczesnych wirtuozów i tego samego życzą sobie Polacy w kompozycji dla niego.

O KRZYŻAKACH.

Przez

18) **Marję Konopnicką.**

(Dokończenie).

Blask. Pęd, zawierucha, szczęk, wrzask trąb, piszczałek, rogów. Porwała się, poniosła Litwa, jako białozorów stado, cała w bojowym wichrze i błyskaniach tulic.

Lecz czarny bór Niemców ruszył przeciw, w żelaznej potędze karności i zbroi.

I uderzyło się o bór czarny białozorów stado, i zawichrzyło krwawem pierzem, i w rozsypkę poszło. A bór Niemców posuwał się mroczny, zwarty, groźny.

— „Ludy – wszakże — tak samo jak człowiek, mają chwile natchnienia“[1]). I oto, przeciw tej strasznej czarniawie krzyżackiej wyszła natchniona dusza narodu.

Wyszła w wielkiej, prostej, pierworodnej sile modlitwy i pieśni. I uderzył w niebo głos potężny, „grzmotowi niebieskiemu podobny“, ze stu tysięcy piersi rycerstwa polskiego dobyty, głos prastarej, praojcowej pieśni:

„Boga Rodzica - Dziewica.
Bogiem sławiona Maryja“.

pieśni, „od której moc wstąpiła w kości, a serca stały się na śmierć gotowe“. — I to właśnie była owa „chwila natchnienia ludu“.

I tu uderza w nas jakiś niebywały ogrom dziejowego momentu. Bo na tej równinie sądu, nietylko rzucone są na siebie dwa wojska, dwa ludy. Tu walczą przeciw sobie, tu się potykają w płomieniach krwi i w błyskawicach mieczów, dwa ludów tych Duchy, każdy w piorunie swej idei, swej wiary, swej siły.

Idzie Duch teutoński ciężki, srogi, straszliwy, tratujący śmiertelnie wszystko, przez co mu droga. A droga mu prosto przez pierś, przez serce, przez życie — polskiego narodu. Idzie milczący, groźny, zwarty, potężny i nieubłagany. A imię jego „Exterminans“, a podpierają go Narodowie swiata, którzy uwierzyli w moc jego, w moc żelaznej, wszystko druzgocącej pięści. A przeciw niemu rwie się Duch lotny, skrzydlaty, ognisty, natchniony śmiercią i niepowstrzymany. Duch, który woła: „Szabla moja, Jezus i Maryja!...“ — A nad nim wieje pieśń wiary jego, wiary w jakieś wielkie ziszczenie „Bożego Wiecu“ nad światem, w jakiś wielki „Spust“ wszechmiru w jakąś wieczną, powszechną „radość“, w jakąś wieczną, powszechną „miłość“, w jakieś „anielskie“, „bez końca“ widzenie królestwa Bożego. A jeden idzie cały w żelazie, a drugi leci cały w płomie-

[1]) Michelet

niach, a obaj widni w „tęczach chorągwianych“ idących przeciw sobie nad zastępami.

Już „Mistrz skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa“.

Już w „czelnym hufcu polskim“ pochylili się rycerze na karki końskie, a groty wyciągniętych włóczni błysnęły piorunowym wężem.

— „W nich! Bij!“

Już lecą...

A nad nimi, pod niebem gdzieś, wysoko, targa się jeszcze „grzmotowi podobne echo:“

...Kyrie Elejson...

I od tej chwili całe to wielkie bojowisko staje w natchnieniu, śmierci.

Ten bój ogromny, i ogromem swoim przytłaczający wszelki opis, ukazał nam wielki Twórca „Krzyżaków“ tak, aby sam mógł grzmieć nam w słuch, i błyskać w oczy.

Zaczem rzuciwszy na siebie z potężnym epickim rozmachem dwa wrogie zastępy, rozbija ogrom boju na epizody, i ukazuje nam śmiertelne męstwo rycerzy, walczących w pojedynku, lub w pomniejszych kupach. I tu Sienkiewicz wznosi się do homerycznej prostoty.

Opada kwiecie słowa, milkną muzyki jego, a bogactwo szat jego i ozdoba jego — ustawa. I staje przed nami słowo nagie, proste, wielkie, w pierworodnej mocy swojej, słowo — „nie językiem mówione, lecz błyskane z ducha“*).

I nie jest już ono słowem, jest — wizją.

Tutaj widzimy, jak się zwarł „Lis z Targowiska“, z mężnym komturem z Osterody i jak go pokonawszy, lud jego rozproszył. Jak Paszko z Biskupic zbił sławnego męstwem brata Kunca Odelsbacha i jak mu w pobok stojących siedmiu rycerzy ugasił.

Widzimy, jak Jędrzej z Brochowic „gończą chorągwią“ przywodząc, złamawszy miecz na hełmie rycerza, chwycił go prawicą za ramię i skruszył w nim kości. Widzimy, jak olbrzymi Powała z Taczewa, nadludzką siłą obalał ludzi i konie, jak bił sam w całe gromady Niemców, niby orzeł w kanie. I widzimy jak walczył Leszko z Goraja, i Ciołek z Żelichowa, i Dobko Oksza, i Mścisław ze Skrzyszewa, i Nałęcz, i Skarbek, i Jelitczyk z Korytnicy. Widzimy nadewszystko straszny pochód Zawiszy Czarnego, który szedł „jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada“. I prowadzi nas tak wielki piewca Grunwaldu przez szereg walk śmiertelnych, i ukazuje, jak walna chorągiew królestwa pada, ugasa, i jak znów zakwita. Lecz kiedy „większość białych płaszczów legła już na ziemi, a tu i ówdzie wypadał ze skrętu jakiś zagraniczny rycerz, z twarzą zbielałą ze strachu i zdumienia“, gdy już zaczynało brakować mężnych przeciw mężnym, — zbiera piewca Grunwaldu rozproszone tony owych walk pojedynkowych, i uderza w pełny epicki akord powszechnego boju. W akord wspaniały prosty i — śmiertelnej mocy.

*) Słowacki.

I oto powraca Litwa, a bojowisko przelatuje ów rycerz, „w świetnej zbroi, z obnażoną z hełmu głową, ów Matejkowski Witołd, podobny do złowrogiej gwiazdy, lub do niesionego wichrem płomienia“.

A gdy Litwa wróciła, a Mistrz ruszył odwodowe hufce krzyżackie, jak wicher rusza czarną pełną gradów chmurę, przez szeregi kmiecych piechot leci gromowe hasło:

„Gotuj się! Gotuj się!“

— „Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, pospierali drągi od cepów i kos o ziemię, i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie. I dało się słyszeć przez całe linie to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu“.

„Naprzód! Ławą!“

„Ruszyli“. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać: „Zdro - waś Ma - ry - ja łas - kiś peł - na Pan z to - bą“. „I szli jak powódź, a całe pole rozbłysło, zajaśniało od grotów“.

Dość! Niech na tym obrazie spocznie duch i myśl, Dość! Pan z tobą, ludu!

. . . .

Najpotężniejszemi kartami w całem Sienkiewiczowskiem dziele są te karty, na których wielki Twórca „Trylogji“ i „Krzyżaków“ dotyka klęsk najstraszniejszych, momentów najgłębszego upadku ducha, a zaś dobywa jasny dzień z tej nocy, a z tej rozpaczy — nadzieję. A jest w tem coś więcej, niżeli artystyczna antyteza światła i ciemności. Coś więcej, niżeli bicie fali, która to pogrąża korabie żywota, to je wzwyż niesie. W tem jest jakieś wielkie, wielkie prawo; i jakaś jasna, jasna prawda; w tem jest jakaś ogromna i całe niezmierzone pola życia oświecająca słoneczność.

I to daje kartom tym potęgę. I daje siłę tym, co je czytają. A dać siłę społeczeństwu swemu, to jest najwyższe zadanie geniusza i najwyższy tryumf jego.

Więc nietylko tej „wielkiej świętej przeszłości“, którąś wskrzesił, i nietylko tej „krwi ofiarnej“, którąś uczcił, ale i Tobie Dawco siły, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

9) WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Pewnego dnia...

(Dokończenie).

— Jezus mój najsłodszy — szepnął bezwiednie i zaczął szukać po kieszeniach chustki.

— Jezus mój, Jezus! — powtarzał i szukał wciąż chustki, a łzy ciężkie, jak ziarna pełne, całym różańcem spływały mu po twarzy; nie wiedział o tem, nie wiedział już nic, tęsknota szeroka, jak te pola, objęła mu serce i szarpała boleśnie, nie do wytrzymania!

— Panie! panie! co to wam?

Wzdrygnął się. Józef siedział obok niego z harmonijką...

— A tobie chamie co do tego! — krzyknął i chciał się porwać i iść; nie miał sił, pozostał.

A Józef odsunął się nieco i zapatrzony w obłoki, co jak białe gołębie krążyły po błękitach, grał zapamiętale.

A dusza pana Pliszki uległa już zupełnie.

Wieczór nadchodził, dzwony kościelne biły ponieszporne hymny, głos leciał po zbożach i trawach, że aż drgały źdźbła i ptaki milkły. Ziemia okrywała się rosą, przysłaniała się ciszą i mrokiem... cichła. Słońce kładło się za lasy, zboża się pochyliły, jakby w zadumaniu... szmer wody przycichł, wiatr uwiązł w lasach, wieczór nadchodził!...

Noga mnie tak bolała, że wytrzymać nie mogłem — tłumaczył p. Pliszka, gdy powracali do domu.

— Pójdę, dosyć mam tego, pójdę! — powiedział sobie stanowczo...

Ale rano, we fabryce nie śmiał już tego powtórzyć, czuł wyraźnie dzisiaj, że fabryka go nie puści, że te bydlęta żelazne patrzą na niego groźnie, że te mury... Nie, niepuści...

A tymczasem nocami, w marzeniu już był tam, u swoich, już chodził po chatach panów braci, wita się, odnajduje wszystkich, i jest mu tak dobrze, tak strasznie dobrze.

O dosyć mu tej męki, dosyć.

— Jutro pójdę, żeby nie wiem co, pójdę — powiedział.

I przyszło w końcu to jutro, pan Pliszka czekał wieczoru, nie miał odwagi odchodzić w dzień.

Nie zwierzył się z tym planem nikomu.

I w nocy, gdy już w izbach wszyscy spali, wstał po cichu z łóżka, spakował w tłómok rzeczy i czekał tylko świtu, bo pociąg odchodził rano.

Kruczek niespokojnie obwąchiwał tłumok i patrzył mu w oczy.

— W świat pójdziemy, do swoich, w świat! — powiedział mu cicho.

Pan Pliszka siedział w oknie, pomiędzy rozkwitłemi fuksjami, czekał świtu, a patrzył na fabrykę, która olbrzymią, czarną plamą leżała w szarej, smutnej nocy.

Deszcz mżył drobny i ciepły.

— Jutro już tam będę! — myślał pan Pliszka i serce zrywało mu się z szalonej radości.

Cień fabryk jakby zolbrzymiał i jakby pękł i rozlewał się szeroko — na świat cały.

Pana Pliszkę noga zaczęła boleć dokuczliwie.

Przymknął oczy, bo kominy fabryki wychyliły się z ciemności i były tak blizko, tuż nad nim, jakby się pochylały... jakby chciały go chwytać.

— Winda!

Drgnął gwałtownie, ten okrzyk rozległ się w nim, a jemu wyraźnie się zdawało, że to z fabryki głos dochodzi.

— Nie dam się, nie. Wyskoczył przez okno, zarzucił tłomok na plecy i ruszył drogą.

Ale musiał przechodzić wzdłuż całej fabryki!

— Winda!

Jezus Marja! Przycisnął się do parkanu i z przerażeniem patrzył na czarne straszne okna fabryczne..

Wydało mu się, że te okna patrzą, że tam w ich głębi widzi całą ciżbę poskręcanych, potwornych maszyn, że wszystkie się skłębiły i patrzą na niego.

Cisza była śmiertelna, deszcz spływał sznurami drobnych paciorków i szeleścił ledwie dosłyszalnie wśród liści.

Bielało już nieco, wyraźnie, coraz wyraźniej spostrzegał fabryki; wszędzie stały, ze wszystkich stron wyrastały, czaiły się w zmrokach, a zagradzały drogę... Szara deszczowa kurzawa obalała je jeszcze, i mroki przysłaniały, ale one rosły w tem świtaniu ponurem, potężniały, podnosiły szyję coraz wyżej... coraz groźniej!

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Ruszył galopem prawie, przebiegł z zamkniętemi oczami obok fabryki i odetchnął aż w polach, pod lasem, który mu zagrodził drogę, a że czuł się strasznie zmęczonym, usiadł na jakimś zagonie i odpoczywał.

Był już kawał drogi od domu, ale fabrykę widział dobrze.

Było już coraz jaśniej.

Zerwał się, gdzieś daleko, na drugim końcu miasta, zadrgał świst fabryczny.

Pan Pliszka porwał się i wszedł spiesznie w las.

A świsty szły za nim, jak psy i gryzły go w samo serce... o jeden... drugi... dziesiąty, co chwila co sekunda, co mgnienie, wołały przenikliwie głosy fabryk!

Obejrzał się na miasto, w deszczowych mgłach już się jarzyły elektryczne słońca, wykwitały nad miastem...

— Jezusie Najsłodszy! Jezusie! — bełkotał przerażony.

Przyspieszał kroku, chciał uciec, za wszelką cenę chciał uciec, ale te głosy biegły za nim, huczały w lesie, przedzierały się przez gęstwę drzew, przez mgły, przez oddalenie i znajdowały go i biły w jego duszę, przenikały ją bólem, strachem, skowytem dzikim buntu i rozpaczy.

Naraz i potężny głos jego fabryki, rozdarł bolesnem dźwiękiem powietrze, ach tak znał ten głos, tak znał!

Stanął, przestał oddychać, przestał wiedzieć i pamiętać... a fabryka wołała go potężnym głosem gniewu:

— Wróć! wróć! wróć!

. . . .

W pół godziny później stał znowu na swojej windzie.

— Winda Blich!

— Winda suszarnia!

— Winda apretura!

Huczała komenda w tej głębokiej studni, a pan Pliszka cichy, cichszy, niż zwykle i bardziej pokorny, jeździł, jak zwykle, równo, spokojnie, automatycznie.

Czasami tylko, gdy myślał o tych dniach buntów, płakał — ale płakał cicho, bał się, aby maszyny nie usłyszały tej skargi.

Zakopane-Szałas 1900 r.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Teraz nastały dla niego dni gorzkiej samotności, pełne dręczących, beznadziejnych myśli. Czas wlókł się żółwim krokiem, — gdy nagle jednostajne ich pasmo przecięło nowe wzruszenie.

Pewnego rana strażnik przyniósł, jak zwykle śniadanie, lecz odchodząc, przystanął u drzwi, popatrzał jakoś dziwnie na więźnia, zdawał się wahać przez chwilę, a potem jakby nagle się decydując, przemówił do niego w te słowa:

— Usłysz, gazdo, jako ci powiem. Ale pamiętaj, nie zdradź się przed sądem, że to wiesz odemnie. Boisz się zapewne, że w Wiedniu zatwierdzą wszystkie wyroki, toż będzie ci lżej na sercu...

Kozina podniósł szybko głowę i jął słuchać z natężeniem.

— Wczoraj papiery wróciły z Wiednia... Cesarz nie podpisał wszystkiego...

Więzień drgnął, a blade jego policzki żywym zabarwiły się rumieńcem. Spojrzenie jego zawisło na ustach strażnika.

— Cesarz zatwierdził, aby jeden tylko z was był powieszony...

— Który!... — wyrwało się Kozinie z uciśnionej piersi.

— Tego nie wiem. To mają dopiero rozstrzygnąć członkowie sądu kryminalnego. Ten stary uszedł już wyrokom ziemskim. Zostało was jeno dwóch. Ecl podany był do Wiednia na pierwszem miejscu, za to, że wygłosił oną mowę zuchwałą, a tyś stał na trzeciem. Więc chyba ocalejesz, czego ci życzę, bo masz żonę i dzieci.

— Bóg wam zapłać! — dziękował Kozina stłumionym głosem.

Strażnik odszedł. Słowa jego błysnęły, niby promień nadziei w ciemnościach więziennych. Jedno było przynajmniej pewne, że obaj, on i Ecl, nie zginą śmiercią sromotną. Jeden pozostanie przy życiu... Który? Promyk migotał: bladł, to żywszym świecił blaskiem, ogrzewając smutne serce więźnia. Młody był, miłował śliczną żonę i dzieci — nie chciał iść na śmierć. Nie zasłużył na nią niczem. Głęboko był przekonany o swej niewinności. Domagał się jeno prawdy, a gdy inni wszczynali kłótnie i zatargi z Lomikarem i jego urzędnikami, on starał się ich od tego odwodzić. Teraz los ma się rozstrzygnąć między nim i Eclem. Ów miał oną mowę o harapie pańskim i utopił go w stawie. Obraził i poniżył tem Lomikara... Kogoby jednak on, Lomikar, wolał skazać na śmierć, Ecla, czy też jego, Kozinę, który mu zawsze śmiało w oczy patrzał i miał na wszystkie jego słowa wykrętne gotową odpowiedź?...

Na to pytanie głos wewnętrzny odpowiadał mu zawsze i niezmiennie: „Ciebie, ciebie!“

Nie Lomikar przecież, jeno sąd rozstrzygać będzie — przemknęła mu przez głowę myśl pocieszająca, lecz wnet zastąpiła ją inna: „Ale on taki potężny! Wszak obalił wyrok sądu apelacyjnego, a więc i teraz poradzi zniewolić sędziów, aby rozstrzygnęli podług jego myśli“...

Ale niech ta będzie jak chce! Tego się jednak nie doczeka nigdy, aby on, Kozina, upokorzył się przed nim, aby odwołał to, co mówił dawniej o prawach chodzkich. O nie, tego nie uczyni nigdy i za nic w świecie! Niech się dzieje wola boska! Gotów jest ponieść śmierć męczeńską za prawdę i sprawiedliwość...

Bywały jednak chwile, w których — na myśl o Hance, o dzieciach — odwaga jego słabła. I ta ciągła walka wewnętrzna stała się dlań w końcu udręczeniem tak wielkiem, że wolałby już najgorszą wieść, byle pewną, od takiego ciągłego wahania się między życiem a śmiercią.

Owoż pewnej nocy bezsennej, gdy zadawał sobie po raz setny pytanie: który z nich będzie skazany i kto mu o tem powie? — przyszło mu nagle do głowy: Zapytaj się wróżby! Zapytaj liczb! Nieparzysta liczba oznaczać będzie śmierć twoją!...

Podniósł się z posłania, cofnął do ściany i począł iść zwolna ku drzwiom, rachując kroki W ciszy nocnej słychać było wyraźnie brzęczenie kajdan na nogach więźnia. Nagle ucichły. Kozina stał u progu. Porachował. Siedem kroków! Złowroga wróżba! — Nie dał jednak za wygranę, Wziął z posłania garść słomy i zbliżył się do okienka. Rachował, odrzucając źdźbła, jedno po drugiem, na podłogę. Czternaście — już ma jeno dwie słomki w ręku — piętnaście, szesnaście... oh, jeszcze jedno — ostatnie, siedmnaste!...

Tej nocy nie zaznał już snu; ale też nie próbował odtąd wróżyć...

XXVII.

Drugie lato szło od onej krwawej rebelji chodzkiej.

Ziemia znowu kwieciem się stroiła, a bujne zboże falowało na łanach, oczekując sierpa. O tym czasie właśnie, przed żniwami, Lamingerowie zjawili się na zamku Terhanowskim. Szlachetnie urodzona pani i tego roku jeszcze wzdragała się tam jechać, ale mąż śmiał się z jej obaw.

— Nie bój się, nie bój, moja kochana — mówił z zimną ironją. — Nie są to już owi dawni Chodowie. Zobaczysz, jakem ich ujeździł. Potulni są jako owieczki.

Szlachetna pani poddała się woli małżonka, uczyniła to jednak wbrew przekonaniu wewnętrznemu. A po kilku tygodniowym zaledwie pobycie na samotnym zamku obronić się nie mogła uczuciu przygnębiającej tęsknoty. Dawniej, dopóki miała przy sobie córki, było jej tu przecież weselej. Ale i młodsza, Marja, wyszła ubiegłej wiosny za hrabiego z Freudenthalu i przebywała obecnie w dobrach swego małżonka.

Matka cieszyła się niemal z jej nieobecności. Pamiętała, jak smutno bywało młodemu dziewczęciu w tym górskim zakątku i dawniej, jakżeby się więc uskarżała teraz na samotność! I dla samej hrabiny spacer w parku zamkowym stanowił jedyną niemal rozrywkę. Znajdowała się w nim i teraz, w pierwsze po przybyciu popołudniu niedzielne, gdy nagle ujrzała zbliżającą się ku sobie góralkę. W żałobnej sukni*), białym fartuszku, w śnieżnej, pięknie haftowanej i misternie wokoło głowy obwiązanej chustce, — młoda gazdzinka zbliżała się wolnym krokiem, wiodąc dwoje dziatek: chłopaka i dziewczynkę, wystrojonych świątecznie, z pięknie uczesanemi włoskami.

Hrabina przyglądała się z zajęciem młodej, urodziwej włościance, ta zaś, na widok strojnej pani, stanęła zmięszana, wnet jednak pochyliła się ku dzieciom i coś im szepnęła Zaczem chłopak podbiegł ku dziedziczce i pocałował ją szybko w rękę. Natomiast jego siostrzyczka, cudne złotowłose dziewczątko, po zrobieniu kilku zaledwie kroków stanęła, jak wryta, z buzią płonącą, niby kraśny mak polny.

— Kto jesteś i skąd przychodzisz? — spytała hrabina, ogarniając życzliwem spojrzeniem matkę, śmiałego jej synka i wstydliwą córuchnę.

— Jestem żoną Jana Koziny, przychodzę z Ujazdu... — zaczęła Hanka, lecz głos załamał się jej w piersi, a łzy trysnęły z oczu.

— I czegoż sobie życzysz? — zapytała szlachetnie urodzona pani, po której czole przemknął cień.

Ale Hanka, słowa nie mogąc przemówić, osunęła się przed nią na kolana.

— Łaski, szlachetna pani! — jęknęła po chwili. — Łaski!

— Wstań i powiedz, czego chcesz!

— Dyć sami, zaiste, wiecie, miłościwa pani, jako mój mąż od dwóch roków w hareszcie zamknięty siedzi... A nijakiej winy w nim niema... Inszych jeszcze chłopów odwodził, a prosił, a błagał, by onych psot zaprzestali... Do rebelji też nie należał, bo w on czas był w Pradze... O miłościwa pani, przemów że za nim do swego pana!... Telo czasu, a my haw sami, bez niego... Bieda nam bez gazdy i on sam hań cierpi najbardziej... A dzieci?... Dyć sami matką jesteście, miłościwa pani... Oh, łaski!... oh, litości...

Hrabina słuchała z widocznem wzruszeniem żałośnych słów Hanki. Wczoraj właśnie mąż, wspominając o więzionych Chodach, mówił jej, że Kozina będzie niewątpliwie skazany na śmierć... To też sama zaledwie mogła powstrzymać się od łez, patrząc na łkającą kobietę i jej dziatki niewinne.

— Powstań, biedaczko, — przemówiła nareszcie stłumionym głosem — żal mi was, lecz ja nic na to poradzić nie mogę...

— Ale miłościwy wasz pan...

— Mylisz się, nie on sądzi twego męża, jeno sąd w Pradze Zobaczymy, co będzie można...

Urwała nagle: u wejścia do cienistego szpaleru grabowego, w którym rozmawiała z Hanką, ujrzała swego męża...

Zbliżył się szybko i ogarniając całą grupę lodowatem spojrzeniem, rzucił wzgardliwe pytanie:

— Kto wpuścił do parku tę chłopkę?...

Hanka doznała na widok Lammingera takiego wrażenia, jak gdyby ktoś nożem ją żgnął. Bezwiednym ruchem przygarnęła ku sobie Hanusię, kryjącą się, niby spłoszone kurczątko, w fałdy sukni matczynej. Nagle jednak myśl o Janie przemknęła jej przez głowę i sił dodała.

*) Ciemno fioletowej barwy. (Przyp. Autora).

— Miłościwy panie! — zaczęła drżącym głosem.

— Czego chcesz? — spytał Lamminger.

— To żona Koziny — wtrąciła jego żona, patrząc z zakłopotaniem na oboje.

— Zlitowania, miłościwy panie! — zawołała w odpowiedzi sama Hanka. — Mój Jan w hareszcie, telo czasu...

— Czy *on* przysłał cię tutaj?

— Ach, nie widziałach się z nim! Była-ch łonie w Pradze, ale straż więzienna nie puściła mię ku niemu...

— Gdyby nawet i puściła, wątpię, aby ci kazał do dworu iść. Zresztą mogłaś sobie spokojnie siedzieć w domu. Nie ja go sądzę, jeno sędziowie w Pradze.

— O miłościwy panie, kiebyście ino chcieli!... Na wasze słowo stało się to wszystko, na wasze słowo puściliby Jana wnetki.. Oh, kiedyż go puszczą nareszcie, miłościwy panie!...

Dziwny uśmiech przemknął po bladych wargach Lammingera. Wpierw jednak, nim zdołał odpowiedzieć na to pytanie, żona zwróciła ku niemu twarz błagalną.

— Na Boga zaklinam was, panie — mówiła drżącym głosem po francusku — nic jej nie powiadajcie... Ulitujcie się przynajmniej nademną.

— Nie jestem sędzią, nie wiem. To jedno mogę ci powiedzieć, że wyrok będzie surowy. Trzeba przykładu, któryby na wieczne czasy odjął ludziom chęć buntowania się przeciwko panom. Twój mąż zwłaszcza zasłużył na surowość jak największą. On podłożył ów ogień Gdyby go dziś puszczono, jutro podburzył by znowu całą ludność. Potrafiłby to uczynić swemi mowami. I dla tego, że jest niebezpieczny, musi cierpieć. A teraz idź z Bogiem!

Szorstkie te słowa, twardym akcentem niemieckim wypowiedziane, zgnębiły Hankę do reszty. Ujęła przerażone swe dziatki za ręce i odeszła w milczeniu, nie ośmielając ani słowa powiedzieć, ani oczu podnieść. Uszedłszy dopiero kilka kroków dalej, wybuchnęła gorzkim, nieutulonym płaczem.

Lamminger utkwił zimne źrenice w twarz żony.

— Na przyszłość raczcie mi oszczędzić podobnych audjencji — rzekł wyniośle i odszedł w przeciwną stronę

Hrabina, wzruszona i drżąca, odprowadziła go płonącym wzrokiem, a w głębi jej duszy huczał jeden tylko wyraz: — Tyranie!

* * *

(C. d. n.)

Nowa polityczna zdobycz kobiet.

Demokratyczna Norwegja, kraj zamożnego i oświeconego włościaństwa, uchwaliła przed niewielu dniami przyznanie prawa wyborczego kobietom do stortingu (parlamentu) norweskiego

Rzecz charakterystyczna, że prawo to, uprzedzające wszystkie inne kraje Europy w rozszerzeniu obywatelskich praw kobiet, zostało wydane przy znacznym współudziale konserwatystów, którzy sądzą, że kobiety-wyborcy przyczynią się do wzmocnienia partji konserwatywnej. Nie ulega wątpliwości, że dziś, na ogół biorąc, kobiety w Norwegji jak i innych krajach, są mniej wykształcone pod względem politycznym, mniej uświadomione społecznie, a wskutek tego bardziej są wodzone na pasku klerykałów.

Lecz przyznanie prawa wyborczego kobietom, nadając im możność wywierania wpływu bezpośrednio na losy społeczeństwa tak kobiecego, jak i męskiego, zmusi mężczyzn i bardziej wykształcone niewiasty zająć się energiczniej umysłowym rozwojem i politycznym uświadomieniem kobiet, a więc może stać się znaczną dźwignią umysłowego stanu kobiet.

W Australji kobiety otrzymały prawo wyborcze i w 1898 r. po raz pierwszy stanęły tam do urny wyborczej. Otóż okazało się, że przy wykonywaniu swych praw wyborczych kobiety znacznie więcej uwzględniają poziom etyczny kantydatów, niż mężczyźni.

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Przez cały czas pobytu naszego w Fiume, póżniej w Porto-re widywałem Kurylaca często, odwiedzałem z nim czytelnię narodową, noszącą wtedy miano „Czytauni", studjowałem przy jego pomocy utwory sławian południowych, chodziliśmy w gościnę do wieśniaków okolicznych. Wszędzie

go znali i wszyscy byli dla niego z uszanowaniem i serdecznością, znamionującą miłość głęboką. On sam kochał kraj swój tak gorąco, jak tylko patrjota krwi południowej kochać go umie. Szczególniej miłował włościan, obcował z nimi, chętnie wdawał się w rozmowę i przy naszych wspólnych wycieczkach, z racji obecności Polaka, nauczał ich historji polskiej, kreśląc bardzo wymownie oblęcz Wiednia i walki Polaków z Turkami i Niemcami. Psie pole i Grünwald były dla niego tematami ulubionymi. Rozmowę ze sobą prowadziliśmy w sposób oryginalny. Ja mówiłem po polsku wolno i wyraźnie, on mi odpowiadał po chorwacku, objaśniając wyrazy dla mnie niezrozumiałe, bądź po polsku, bądź po niemiecku, gdyż język niemiecki znał dobrze.

Gdy zaszła rozmowa o prof. Grube'm, z którym robiliśmy wtedy wycieczki na morze, opowiedziałem, że prof. jest ożeniony z Polką, rodem z Warszawy panną Szefer, że sympatyzuje z Polakami, że u niego w domu teściowa wcale nie umie po niemiecku, rozmawia z zięciem przeważnie po francuzku, a z córką i wnukami po polsku, że prof. Grube, jako wykształcony muzyk i biegły spiewak, zna cały repertuar utworów melodyjnych Moniuszki i Chopin'a, że chętnie spiewa pieśni polskie, burszowskie, dorpackie, gdzie był prof. i ma rangę rosyjskiego radcy tajnego ze wstęgą orderu św. Anny na szyji, słowem, starałem się przedstawić prof. z najbardziej sympatycznej strony dla człowieka, będącego gorącym patrjotą słowiańskim.

Kurylac odwiedzał mię kilkakrotnie w hotelu Locanda-Grande w Fiumie i na prywatnem mieszkaniu w Porto-re, ale zwykle nie zostawał tam prof. Grube'go, bo ten, mając znajomości w mieście i w okolicy, wieczory spędzał w gościnie. Gdy następnie przyszedł na pożegnanie w porze rannej, spotkał się po raz pierwszy z nim. Przewidując, że takie spotkanie nastąpić może prędzej lub później, przygotowałem prof. Grube'go w ten sposób, że mówiłem mu dużo o Kurylacu, chwaląc jego patrjotyzm, jego miłość i poświęcenie dla kraju, wielbiąc w nim człowieka niepospolitego, zarazem wspominałem o tem, że był więziony i sądzony przez władze austrjackie na powieszenie. Po tem wszystkiem byłem przekonany, że przygotowawszy obie strony do sympatycznego ku sobie nastroju, mogę w danej chwili już bez wszelkiej obawy, przedstawić gościa gospodarzowi. Prof. Grube, z całą uprzejmością jemu właściwą, podszedł pierwszy do Kurylaca, oświadczył, że go zna z mego opowiadania i przemówił serdecznie do niego. Jakież było zdziwienie moje, a tem bardziej prof. Grube'go, gdy Kurylac nie podał swej ręki przy powitaniu, ale w rubaszny sposób cofnął się i oświadczył gwałtownymi wyrazami, że nie umie po niemiecku, przyczem dodał: „Otwarcie Panu powiem, że nie cierpię języka niemieckiego i ludzi nim mówiących“. „Za co?“ — spytał prof. Grube zmięszany. „Za co?“ — powtórzył Kurylac „długo o tem mówić, ja krótko to tylko Panu oświadczę, że byłbym najszczęśliwszym człowiekiem, gdybym się mógł doczekać pogromu Niemców, a wtedy z całą przyjemnością, prawdziwego barbarzyńcy, wychyliłbym puhar krwi niemieckiej“, to rzekłszy, ruchem nerwowym ręki, trzymającej kapelusz, pożegnał nas i wybiegł z mieszkania.

Po jego wyjściu, wyrzekł prof. Grube ze smutkiem: „Biedny człowiek, on chyba obłąkany“. Odtąd śledząc uważniej symptomy nienawiści Kurylaca, przekonałem się, że one nie były normalne. W tej swojej zawziętości nie znał on żadnego hamulca, tracił władzę logicznego myślenia, wprost wpadał w szał wścieklizny antygermańskiej. W późniejszym czasie korespondowaliśmy ze sobą, pisał do mnie po chorwacku, przyczem zawsze na końcu listu umieszczał słowniczek wyrazów, mniej dla mnie zrozumiałych. W listach tych, tchnących uczuciem miłości gorącej do kraju własnego i całej słowiańszczyzny, nigdy nie było śladu jakiegokolwiek zboczenia umysłowego. To też następnie, gdym widział ziomków naszych, opanowanych szałem nienawiści do Rosjan, stawał mi zawsze przed oczami myśli Kurylac, on mi dał klucz do zrozumienia obłędu. Jego jasna, kochająca, altruistyczna dusza, pałająca gwałtowną nienawiścią ku tyranji, powtarzała się raz wraz w typach nienawiści, spotykanych pomiędzy wygnańcami syberyjskimi. Nienawiść taka była reakcją myśli, często wprost bezwiednej, na bodźce potężne, jakimi były katusze moralne patrjotów, w innych wypadkach znowu była odwetem, za tę nienawiść, którą tchnęła podówczas cała machina państwowa rosyjska ku wszystkiemu, co polskie. Czem była silniejszą akcja, tem też gwałtowniejszą i reakcja i zdawało się na razie, że przepaść, wykopana przez despotyzm, nie da się niczem wypełnić. Aż naraz fakt, o którym tu wspomnę pokrótce, wykazał, że jest pole wspólnej czynności, że jest cement, który potrafi spoić tak różnorodne elementy, jak niewolniczych Rosjan i miłujących wolność Polaków ku wspólnej działalności; — tym cementem, jak słusznie utrzymywał Kurylac, jest nienawiść do Niemców.

Z pism i książek.

Encyklopedja staropolska ilustrowana. Tom II, zeszyt 2-gi. Zeszyt ten cennego dzieła, wychodzącego pod redakcją zasłużonego pracownika na polu starożytności polskich, Zygmunta Glogera, zawiera między innemi w obszernem streszczeniu znaczenie takich przedmiotów, jak: drużyna weselna, drzewo genealogiczne, drzeworytnictwo polskie, duchowieństwo, dukat, dworzanin, dwór królewski, dwór magnacki, dwory wiejskie, dykteryjki, dyngus, dzbany, dziadowskie pieśni (z nutami), dziady, działa, dziesięciny, dzwonnica, dzwony itd. Każda karta tego pięknego wydawnictwa, oprócz tekstu, podaje starannie wykonane ilustracje.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.